

Nr. 4. — Rok XXIV.

Dnia 11 (24) Stycznia 1903 r.



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci  
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



*Pierwszy raz o własnych siłach.*

# BŁĘKITNA WSTĘGA.

Powieść z XVI wieku  
przez Z. Morawską.



W dżdżysty wieczor listopadowy, drogą z Warszawy do Ujazdowa, zdążyła w cztery konie zaprzężona kolebka. Na koniach lejcowych siedzieli dwóch hajduków, oświetlając pochodniami panującą ciemność, którą jeszcze powiększała mgła, czy drobny deszcz siekający bez przestanku.

Pochodnie oświetlały wprawdzie nieco drogę, nie wysuszyły wszakże błota, w którym grzęzła ciężka kółasa, chyląc się to na jedną, to na drugą stronę.

Pojazd to był stary, na pudle żółtym, na budzie, zęb czasu wrył swoje ślady, a i koła śnać dawno już służyły. O całość ich drżał najwidoczniej woźnica, za każdym ich zagrzeźnięciem wychylał się, a potem udzielał swoich spostrzeżeń siedzącemu obok hajdukowi.

A za każdym pochyleniem się pojazdu, wyglądała twarz średnich lat niewiasty, białą chustą otulona i dźwięcznym, melodyjnym głosem pytała:

— Może wysiąść?

Zanim Wojciech woźnica zdążył odpowiedzieć, już z drugiej strony wychylała się młodzieńka główka i to samo jeno cieńszym głosem powtarzała pytanie:

— Może wysiąść?

Aż raz woźnicę wyręczyło w odpowiedzi koło, które ugrzązłszy w błocie, wypowiedziało posłuszeństwo, kolebka prawie do samej ziemi się pochyliła.

Na ten wcale nie oczekiwany wypadek, nie ozwało się żadne „och!” „ach!” jak to zwykle bywa, tylko zabrzmiał głos starszej białogłowy;

— Wysiadał Kornelko!

— Błoto — zauważyła Kornelka, wcale jakoś nie przerażona wypadkiem.

— Poszukam jakiej deski i do karety przystawię — ozwał się lokaj, brnąc z pokojówką po rozmiękłym błocie.

Niewiasty, nic nie mówiąc, cofnęły się w głąb karety.

— Skąd tu wziąć deski! — mruknął woźnica.

I stanawszy na kozle, zdjął z siedzenia wyściełaną poduszkę, oderwał wieko od kielni znajdującej się pod kozłem i podając je, rzekł:

— Zawszeć to lepsze niż błoto.

— Godziłoby się takich do samego zamku! — mruknął pokojowiec, opierając deskę o najniższy stopień i spoglądając po rozlanych po drodze kałużach, które się lśniły przy mieniącym świetle pochodni.

Poczem otworzył drzwiczki i rzekł schylając z ukłonem głowę.

— Przy stopniu jest już deska, ale dalej straszne błoto.

— Cóż więc zrobimy? — spytała starsza niewiasta.

I nie czekając odpowiedzi, rzekła:

— Możeby jacy dobrzy ludzie poratowali, wydzwignęli karete i koła użyczyli.

— Gdyby najmiłościwsza pani posiedzieć w karecie raczyła, pacholek mógłby do zamku poskoczyć po drugą karete — odrzekł lokaj.

— Możeby to i dobrze... — odrzekła, namyślając się niewiasta. — Ale gdy tak będziemy stali na drodze, zrobimy jadącym mitręę.

Lokaj się uśmiechnął nieznacznie, w duszy zaś pomyślał:

— Dobrotliwa pani, jeno na jej dobroci nikt się bodaj nie poznaje.

Ale jakby na potwierdzenie jej słów z przeciwnej strony dał się słyszeć zamaszysty trzask z bata i dwóch pacholek siedzących z pochodniami na lejcowych koniach, oznajmiło:

— Karoca na drodze! — wołał jeden.

— Zagrzeźnięta! — dodał drugi.

Woźnica wstrzymał konie, za nim wstrzymał się wóz i kilkunastu jezdnych, otaczających wielką, w sześć koni zaprzęgniętą kolebkę. Jeden z jezdnych przyskoczył do drzwiczek, z kolebki zaś dał się słyszeć głos niecierpliwy:

— Jagmunt, co to?

— Mości książe, jakowaś kolebka na samej drodze! — tłumaczył dworzanin, stojąc z koniem przy drzwiczkach.

— Któż to śmie Algimuntowi, księciu na Holszanach stawać na drodze? — wrzasnął tenże sam głos niecierpliwie. — Fora z nimi — dodał.

I nie ograniczając się na tym rozkazie, zawołał do stojącego przy karecie dworzanina:

— Każ pacholekom tę zawadę usunąć!

Dworzanin kopnął się z rozkazem, tymczasem pacholecy księcia poczuli przedrwiwać z hajduków przeciwnej strony.

— Plewą żywicie konie, kiedy was wyciągnąć nie mogą!

— I plewy pewnikiem nie widzą, jeno wodę z kałuży! — dodał drugi.

Pacholecy zagrzeźniętej zbyli te żarty pogardliwym milczeniem.

— Śmiecie wiozą, to boją się przemówić, żeby ich nie rozdmuchać — ozwał się woźnica.

— Cicho!

— Waruj! — zawołał przyciszonym głosem hajducy — i ozwały się jakieś głosy do butnej służby.

Niewiele to wszakże pomogło, bo zaraz wrzasnął książęcy woźnica:

— Z drogi!

Odpowiedziano mu znów milczeniem.

— Nie wiesz to kto jedzie! — wrzasnął powtórnie.

— Wiem, kogo wiozę! — odchrząknęło mu z zagrzeźniętej karety.

Tymczasem hajducy, zszedłszy z koni, oglądali leżące koło, chcąc je jakim bądź sposobem na oś nasunąć.

— Wiedz o tem, że nam każdy ustępuje z drogi! — wrzeszczeli książęcy słudzy.

— I nam też! — odrzekł spokojnym głosem jego przeciwnik.

— Mój pan jest kniazem na Holszanach!

— My wyżsi — odpowiedziano mu z wielkim spokojem.

Starsza z niewiast siedzących w kolasie poddała się swemu losowi. Zdawało się, że ta przygoda zgoła ją nie obchodzi, usta tylko poruszały się czasami, zapewne szepcząc modlitwę.

Młodzieńka zaś jej towarzyszka co chwila wychylała główkę, a że to na jej stronę pochyliła się kareta, wychylała się więc prawie do połowy.

Z niecierpliwych jej ruchów znać było, iż chętnie byłaby wyskoczyła choćby nawet w błoto, byle nie siedzieć na miejscu. Uszanowanie wszakże dla damy, z którą jechała, nie pozwalało jej na tę samowolę.

Tymczasem gwar kłócących się dochodził do wnętrza, nie rozróżniano słów, lecz głos dowodził, że tam idzie na ostre.

— Zamiast kłócić się, lepiejby nam pomogli — odezwała się ze zwykłym sobie spokojem starsza niewiasta.

To mówiąc, wychyliła się, by spojrzeć, co się tam dzieje.

Jednocześnie przy karecie stanął Jagmunt. Spojrzał i nagle począł jąkać:

— Najmiłościwsza pani, prawdziwie szczególniejszy wypadek, w tej chwili wszystkiemu się zaradzi.

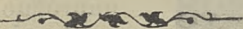
Gdy tak jąkał mocno zakłopotany, z pod ramienia damy wychyliła się główka jadącej z nią dziewczeczki i z ciekawością przypatrywała się młodzieńcowi.

Ten, ukłoniwszy się raz jeszcze, jak mógł najniżej, zwrócił szybko konia, aż rozmiękłe błoto bryzgnęło, dając znak służbie, żeby się uciszyła i znak ten popari ozwaniam się:

— Zamknąć gęby!

Rozkaz w mig poskutkował, w jednej chwili zrobiła się cisza, słychać było tylko oddech wzburzonych gniewem ludzkich piersi i sapanie zadowolonych z chwilowego wypoczynku koni.

(d. c. n.)



Edmund Jankowski.

## PO CO SĄ KWIATY?



Zabawne pytanie! Kwiaty są po to, żeby było w lecie ładnie w ogrodzie, na łące i w zbożu, żeby pachniały, żeby się dzieci miały czem bawić.

Tak sobie myśli niejedyn, ale czy słusznie?

Był taki czas i trwał nawet dość długo, że ludzie uważali siebie za koronę i panów wszelkiego stworzenia; a w pysze swojej mniemali, że wszystko, co jest na świecie, Pan Bóg stworzył tylko dla nich.

Śmieszna zarozumiałość! W miejskim gwarze i w pośpiechu, nie ma czasu pomyśleć o różnych rzeczach, ale gdy jesteście na wsi w lecie i czasami wieczorem mimowolnie podniesiecie oczy w górę, widzicie tysiące mrugających gwiazdek, to dużych, to tak małych, że ledwie je dostrzedz można. Gdy się na ten strop niebieski patrzy przez powiększające szkło, to gwiazd tych przybywa nieskończenie więcej: roi się niemi całe niebo. A przy jeszcze większych przyrządach do patrzenia (teleskopach), okazuje się, że to, cośmy brali gołym okiem za mgłę jakąś, składa się znów z gromad gwiazd rozlicznych. A te gwiazdy oddalone od nas tak, że o ich odległości nie mamy dokładnego pojęcia, bo miary nasze są zbyt drobne, by takie odległości mierzyć — to są pojedyncze słońca. Naokoło nich, jak naokół słońca naszego, krążą planety i około nich księżyce, tak, jak to odkrył dla naszego systemu słonecznego wielki Kopernik.

Tych tedy *światów* widzimy ponad głowami niezliczoną ilość, a ile ich jest w bezmiernej przestrzeni, zwanej wszechświatem, Ten tylko wie, Kto je z niczego stworzył, drogi im nakreślił i kieruje nietylko ruchami, ale i bytem tych niezmiernych brył.

W głowie się kręci, gdy pomyśli człowiek o tym całym bezmiarze, który niewiedomo gdzie ma początek, a gdzie koniec.

Więc czyliż nie jest równie śmiesznem jak zuchwalem mniemanie, że na drobniutkiej planecie, zwanej *ziemią*, niewidzialny i niedający się wymierzyć

w stosunku do wielkiego wszechświata człowiek, ma być panem stworzenia, albo że dla niego wszystko jest stworzone, co go otacza?

Nauki przyrodnicze wykazały też dokładnie i ściśle, że i sam człowiek jest tylko częścią przyrody, jedynie od reszty wyższą o tyle, że mówić może że ma religię, że posiada duszę nieśmiertelną, technienie Boże, że się umysłem wznosi do pojmovania cudów, które naokoło niego Bóg roztoczył, że się zajmować może sztukami pięknymi i filozofią, że się rządzi prawami, że może tworzyć to, co w ogóle utworami ducha nazywamy.

W takim oświeceniu spojrzawszy uważnie na kwiaty, zobaczymy, że i one mają zadania poważniejsze, niż przyozdabianie letniej natury i perfumowania powietrza. Zaprawdę i to czynią one także, ale nie jest to ich celem głównym. Więc cóż?

Najpiękniejszy kwiat nietrwały jest, a gdy jedne z nich trzymają się na szypułkach po dni kilkanaście, jak astry i lewkonie, inne opadają po jednej nocy, jak nocne świece. Ozdobna ich korona ginie, kwiat więdnie. Tak ginie, ale nie cały; jego część wewnętrzna najistotniejsza, zwana zawiązkiem, poczyna teraz rosnąć, aż się rozrośnie w owoc. Drobnutki w niej zalążki stopniowo przemieniają się w nasiona. Z tych nasion, wysianych sposobem przyrodzonym przez roślinę lub przez człowieka, powstaną w drugim roku rośliny podobne do matecznej, lub od niej nieco różne, a w tym wypadku, będą to nowe odmiany. Oto zadanie kwiatu; zamienić się na owoc i nasienie, utrwalić byt rośliny, która go wydała.

By ten cel osiągnąć, kwiat musi być zapyłony, pyłkiem przeniesionym z innych, podobnych kwiatów. Pyłek może być przeniesiony przez wiatr lub przez duże zwierzęta ssące, niekiedy przez ptaki. Najczęściej jednak przenoszeniem pyłku zajmują się całkiem bezwiednie owady, zwłaszcza karmiące się miodem, a więc pszczołowate i motyle. By te owady do siebie przywabić, kwiat musi być dla nich zdala widocznym i dla tego miewa najczęściej zabarwione płatki korony lub też i działki kielicha. Być może nawet, że i woń przyjemna dla nas, lub przykra (jak u *Orchidaceae* — *Arum maculatum*) nie po co innego istnieje, tylko by zwabić prawdopodobnie wielce na nią czułe owady. Żeby zaś je naleźćcie ugościć, na samem dnie swoim, posiada kwiat zwykle gruczołki, wydzielające słodki miód i stąd zwane *miodnikami*.

Ale to dopiero rozjaśnia rzecz słabo. Bliższe zbadanie tysięcy kwiatów, a zajmowali się tem najdzielniejsi badacze, przekonano, że każdy niemal kwiat ma inne, a zwykle nader ciekawe, niekiedy wysoce zadziwiające urządzenia, zmuszające owady do zabrania pyłu z jednych, a do zostawienia go na bliznach innych, pokrewnych kwiatów. Ponieważ pewne owady na pewnych tylko pracują kwiatkach, więc też każdy kwiat przystosowuje się swoją budową do tych owadów, które go nawiedzają, a one do niego. Są np. takie kwiaty, które ponad uwieszoną muszką lub osą zamykają się, za pomocą odchylenia włosów, porastających gardziel korony i trzymają owad w uwiezieniu dopóty, dopóki krążąc w małej tej przestrzeni, przypadkiem nie dotknie pyłkiem nazbieranym na uwłosieniu swego ciała, blizny kwiatka. Skoro zapylenie się skutecznie, włoski na płatkach się prostują i owad-więzień odzyska swobodę.

Kto ciekawy tych cudnych urządzeń, niech poprosi starszych, a oni mu dostarczą książek, z których dowie się więcej. Ja tylko pragnęłam waszą ciekawość podnieść, bo zaspokoić ją może tylko uczenie się z książek, w których nauka podana jest systematycznie i w możliwej całości.

## Z TAJEMNIC CZARNEGO ŁĄDU.

(Opowiadanie podróżnika afrykańskiego).

(Dalszy ciąg).

**T**y, jako Arab znajdziesz tu bezpieczną gościnę; Wadigowie — przyjazne przyjęcie, ci dwaj — dodała, rzucając nam gniewne spojrzenie — niech się nie spodziewają ani gościnności, ani przyjaznego przyjęcia. Wziąć ich! — nakazała, robiąc ruch ręką.

Hassan dobył miecza i stanął w naszej obronie, wzywając Allacha i Proroka, aby mu dopomogli dotrzymać nam wierności. Widząc, że sprawa przybiera obrót poważny, acz niechętnie, zaczęliśmy się bronić przed tym niezwykłym napastnikiem, lecz próżne były nasze usiłowania: nie mogliśmy podołać przeważającej ich liczbie. Hassana uprowadzono w stronę, skąd przyszlismy, a Denoiers'a i mnie skępowano sumiennie i tak związanych pociągnięto jak baranów niewiadomo dokąd.

Nagle rozległ się w lasku oliwnym wojenny okrzyk Wadigów, i ujrzelismy Kassa, szybko zmierzającego ku nam wraz z całą swoją gromadą.

Rozpoczęła się bitwa na dobre, a my beczynni jej świadkowie, niczem nie byliśmy w stanie przeszkodzić tej walce; Wadigowie wkrótce pierchnąć musieli, zostawiając nas w ręku tych bitnych niewiast.

Słusznie mogliśmy przypuszczać, że przyjdzie nam drogo zapłacić za zuchwałą wycieczkę w tę krainę.

— W trudnem jesteśmy położeniu, Franku — odezwałem się do Denoiers'a po angielsku,

— Jam temu winien. Nie trzeba było rozłączać się z Wadigami — odrzekł Denoiers — Chciałbym jednak wiedzieć, co się stanie z Hassanem. Miała go traktować łaskawiej, ale po tem, co zaszło, sądzę, że i on nasz los podzieli.

Kilka kobiet zbliżyło się do miejsca, gdzie leżał ranny wódz Wadigów Kass i, ułożwszy nieprzytomnego na spiętych razem tarczach, pod które podesunęły drzewa włóczni, uniosły go na noszach. Wtedy królowa, zebrawszy koło siebie cały oddział, kazała nas postawić przed sobą, co natychmiast spełniono; dla większego bezpieczeństwa, jakkolwiek mocno byliśmy związani, każdego z nas trzymały jeszcze dwie kobiety.

— Czy my, prowadzimy wojny z plemionami sąsiednimi, czy też w pokoju z nimi żyjemy? — rozkazujące rzuciła pytanie!

— Wojna z tymi, którzy wojny szukają, pokój z tymi, co pokoju pragną — jednogłośnie odpowiedziały kobiety.

— Z jakiego powodu zabito mężów naszego plemienia? — pytała dalej królowa.

— Przez chciwość białego, przez zdradę białego oni polegli — zgodnym chórem odkrzyknęły znowu.

— Dlatego zaprzysięgłismy — mówiła dalej królowa — że za życie każdego z naszych poległych weźmiemy życie jednego białego. Napastników naszych wybiłismy co do nogi, lecz liczba ich nie dorówny-

wa ilości naszych. Biały Frank, który naprowadził ich na nas i zgubę naszą obmyślił, żyw jeszcze, żyw wśród złota, dla którego tyłu naszych poświęcił. Ale gdy on umrze, zemsta nasza będzie skończona. Ludzie ci przynieśli wojnę tam, gdzie pokój przedtem panował; towarzysze ich śmierć zadawali mężom naszego plemienia, cóż ich samych prócz śmierci czekać może?

— Niech umrą! Niech umrą pośród tego złota, którego tak pragną, które nigdy należeć do nich nie będzie! — zawołały wszystkie.

Denoiers chciał raz jeszcze przedstawić królowej nasze zamiary i naukowy cel podróży.

Ale królowa mówić do siebie nie pozwoliła.

— Nie chcę was słuchać! — zawołała.

— *Musisz* mnie wysłuchać! — krzyknął Denoiers, całych sił używając, aby zerwać krępujące go więzy napróżno. Królowa zebrała cugle i wierzchowiec jej ruszył z kopyta, a oddział uderzył w pieśń wojenną tak głośną, że daremnie były wszelkie usiłowania jakichkolwiek przekładań.

Otoczeni i bez ceremonii do szybkiego pochodu przynagleni, doszliśmy wreszcie do owych poszczerbionych skał.

Droga wiodąca do ich stolicy była to raczej kręta stroma ścieżyna. Dotarliśmy po godzinie do wejścia głównego, wielkiej sklepionej bramy. Ale po jej przebyciu niewiele mogliśmy zobaczyć, bo raptownie skręciwszy na lewo, strażniczki nasze zatrzymały się na małym placu, który wydał mi się płaskim wierzchołkiem skały.

W tejże samej chwili przeciągnięto mi pod ramionami sznur i spuszczone w jakiś otwór. Po gwałtownem kołysaniu się, uczułem wreszcie pod nogami twarde kamień i wzrok w górę skierowawszy, ujrza-

łem ku wielkiej radości, że Denoiers tymże samym sposobem w dół zjeżdża.

On nie stracił zimnej krwi i dobrego humoru rozwiązał mi ręce odzyskawszy równowagę, zdjął z łyka splecione sznury, na których nas spuszczone. Rozejrzeliśmy się w około po dziwnem więzieniu, do którego wtrącono nas niespodzianie w tak niezbyt przyjemny sposób.

### III.

Światło dzienne, które zaczęło nas dochodzić przez otwór, pozwalało nam zauważyć wewnątrz pieczary, w której znajdowaliśmy się. Podłoga i ściany tej podługowatej celi składały się z głazów koloru szarego, z zielonemi żyłkami. Głazy te, ręką ludzką obrobione, przylegały jeden do drugiego jak najściślej i wygładzone były jak najpiękniej polerowany marmur. Całą prawie długość jednej ze ścian naszej siedziby pokrywał napis, z pięć stóp szerokości wy-



Ujrzałem ku wielkiej radości, że Denoiers tym samym sposobem w dół zjeżdża,



Stara Warszawa: Dawna ulica Marszałkowska (Ze zbiorów biblioteki ordynacji hr. Krasińskich).

Zygmunt Vogel.

noszący, lecz widać niedokończony jeszcze, bo ryciem go w kamieniu zajęta była jakaś postać skurczona, twarzą od nas odwróconą.

Więc nie byliśmy tu sami! Zbliżył się do niej Denoiers i rękę położył na ramieniu współ-więźnia który teraz dopiero twarz ku nam zwrócił i bystrem, lecz trwożliwym ogarnął spojrzeniem. Nic wszakże nie odpowiedział, ręką ukazał tylko napis, nad którego wykowaniem pracował.

Odzież cała wisała na nim w strzępach, włosy i broda zupełnie siwe, długie, w splątanych pasmach spadały mu aż do pasa. Niecierpliwym ruchem zrzucił z ramienia rękę Denoiers'a i natychmiast, nie zajmując się nami wcale, do roboty swojej powrócił. Patrzyliśmy na niego ze zdziwieniem, rozmyślając, ile też lat oddawał się ciężkiej pracy swojej, tem cięższej, że wykonując ją ze starannością drobiazgową, posługiwał się narzędziem bardzo pierwotnem.

Nadaremnie usiłowaliśmy wciągnąć go do rozmowy z nami: milczał i pracował zawzięcie, jakby nie widział nas obok siebie. Znudzeni wreszcie maniackim jego oporem zaczęliśmy oglądać pieczarę i tu dopiero mogliśmy się przekonać, że w opowiadaniu Hassana mieściło się więcej prawdy, niżeliśmy z początku myśleli. Ujrzelśmy tam bowiem, zsypany w jeden stos ogromny, cały skarbiec zagórzan. Podobnej ilości złota nikt dotąd nie widział. Sztaby, obręcze, naramienniki leżały tam obok brył, a między temi ostatnimi zwróciła uwagę naszą jedna, której ręka artysty nadała kształt ludzkiej głowy o grubych, niewykończonych rysach twarzy. Zanieśliśmy ją pod otwór, skąd spływało do nas światło dzienne i oglądaliśmy ciekawie, dziwiąc się wyrazistości, jaką twarzy tej nadać potrafił rzeźbiarz.

— Kto to zrobił — rzekłem.

— Zapewnie ów Portugalczyk, obecny towarzysz naszej niewoli, zanim rozpoczął ryc ów napis, nad którym strawić musiał niezliczoną ilość dni — odpowiedział Denoiers.

— Mniejsza o to zresztą — odparłem rozdrażniony. Teraz jedno mię tylko obchodzi: jak wydostaniemy się z tej nory? Może posiada ona inne jakie wyjście oprócz tego otworu w górze. Do niego dostać się niepodobna... Choćbyśmy nawet przenieśli cały ten kopicie złota, to i tak nie wygramolimy się dość wysoko, aby krawędzi otworu dosięgnąć.

— Zdaje mi się — odparł Denoiers z tą zimną krwią, która nie opuszczała go nigdy — że przyjdzie nam spędzić tutaj resztę życia. Możemy jednak upukać ściany...

Zabraliśmy się natychmiast do dzieła, ale poszukiwania nasze nie przyniosły żadnego skutku. W kamiennych ścianach nie zauważyliśmy nigdzie tego głuchego dudnienia, które zdradza ukrytą przed ludzkim okiem próżnię. Ale za kopcem złota znaleźliśmy nowe dowody rzeźbiarskich zdolności Portugalczyka. Oprócz wielu przedmiotów drobniejszych, okrytych rzeźbą lub misternem cyzelowaniem, ujrzelśmy przy ścianie postać, rozmiarów nadludzkich, ze szczerego złota wykutą a przypominającą rysami twarzy boginię *Lakszmi*, małżonkę bożka *Wisznu*, której wyobrażenia mógł Portugalczyk spotykać w świąryniach indyjskich. Całą postać okrywała fałdzista szata, którą cierpliwe dłuto sycerza pokryło rysunkiem tak delikatnym, że żadne plemię afrykańskie nie mogłoby się zdobyć na podobnie misterną robotę. Cała figura miała niemniej jak dwanaście stóp wysokości i w rękach nieco naprzód podanych, ścisnęła rękojęść potężnej siekiery, także ze złota wyrobionej. Żelaziec tylko siekiery, niezwykle szeroki, zdawał

się być z gładzonego kamienia; podobnego temu, z jakiego były ściany i podłoga.

(d. n.)

## Jak oznaczyć dzień tygodnia dla wiadomej daty.

(Dalszy ciąg).

### Lata w stuleciu.

W dalszych latach, następujących po roku wziętym pod uwagę, daty posuną się w tygodniu znowu naprzód, a mianowicie o dni tyle razem wziętych, ile dni liczył każdy rok upłyniony ponad pełne tygodnie w nim zawarte. Ponieważ wiemy, że rok zwyczajny liczy dni 365, a rok przestępny dni 366, a

$$365: 7 = 52 \text{ z resztą } 1, \quad 301$$

$$366: 7 = 52 \quad \quad \quad 2$$

— przeto, z każdym upłynionym rokiem zwyczajnym, daty posuną się w tygodniu naprzód o dzień 1, a z każdym upłynionym rokiem przestępnym o dni 2. Czyli, mówiąc inaczej, po upłynionej pewnej liczbie lat, daty posuną się naprzód w tygodniu o liczbę dni, równającą się tejże ilości lat upłynionych w ogóle, z dodaniem ilości upłynionych lat przestępnych, a to dla tego, że z każdym rokiem przestępnym data posuwa się naprzód, tak samo jak i z każdym zwyczajnym, o dzień 1, a nadto jeszcze o dzień drugi, o który rok przestępny dłuższym jest od zwyczajnego.

W stuleciu więc, następującem po naszym roku o liczbie kończącej się na 00, jako też i w każdym innem, ilość lat upłynionych, poczynawszy od dnia 1-go marca roku 00, wskazuje nam liczba, złożona z dwóch ostatnich cyfr liczby rok dany oznaczającej. Zamiast niej wszakże przyjąć do rachunku możemy, jak wiadomo, resztę z podziału jej przez 7. — Ilość zaś upłynionych lat przestępnych oznaczyć się daje, przez *iloraz* z podziału tejże dwucyfrowej liczby przez 4, bez względu na resztę z tegoż działania pozostać mogącą.

Tak więc, do któregośkolwiek dnia z marca roku 00, dodając: a) poprawkę miesięczną, b) resztę z podziału ostatnich dwóch cyfr roku danego przez 7, tudzież c) *iloraz* z podziału tychże dwóch cyfr przez 4, — otrzymamy *dzień tygodnia* dla tego samego dnia porządkowego, odpowiedniego miesiąca danego roku.

*Jeżeli więc dzień 1-szy marca roku 00 był w niedzielę, to jaki dzień tygodnia będzie dnia 12-go czerwca roku 87?*

12-ty marca . . . . .	12
poprawka dla czerwca (Tabl. II) . . . . .	1
ilość lat upłynionych 87: 7 = 12 z resztą . . . . .	3
ilość upłynionych lat przestępnych 87: 4 = 21	
razem . . . . .	37

37: 7 = 5 z resztą 2, czyli *poniedziałek*. (Tabl. I).

### Poprawki wiekowe.

Wielkimi krokami zbliżamy się do celu.

Wyłożony przez nas rachunek, w dotychczasowym całokształcie swoim, służy dla jednego tylko, szczególnego stulecia, wziętego przez nas pod uwagę, w którego początkowym roku 00 dzień 1-szy marca wypada w niedzielę. Mówiąc nawiasem, w rachubie czasu wedle stylu gregoryańskiego, takiego stuletniego roku dotychczas wcale jeszcze nie było, i kilka tysięcy lat upłynie, zanim to kiedyś w przyszłości nastąpi, o czem przekonać się będą mogli następcy nasi, ludzie jacy wtedy żyć będą... o ile wcześniej nie nastąpi koniec świata i dzień Sądu Bożego.

Co jednak uczynić, aby możliwem nam było zastosowanie tego, tak prostego rachunku, do jakiegokolwiek stulecia w ogóle? Stanie się to za pomocą

jednej jeszcze, ostatecznej poprawki, którą nazywamy *poprawką wiekową*.

*Jaką będzie on. dla stulecia obecnego, dwudziestego?*

Aby dać odpowiedź na to pytanie, zastosujemy rachunek nasz do jakiegokolwiek roku stulecia bieżącego, np. do roku 1902. Rzecz prosta, że wynik, jaki otrzymamy, dokładnym nie będzie, rachunek nasz bowiem stosowanym być może bez żadnej zmiany jedynie tylko do stulecia podstawowego, rozpoczynającego się w dniu 1-ym marca roku 00 od niedzieli,—rok zaś 1900 takim nie był. Dla tego też otrzymamy wynik błędny, różniący się od rzeczywistości o pewną ilość jednostek, którą otrzymać możemy przez porównanie owego błędnego wyniku z kalendarzem na rok 1902. Weźmy więc np. datę rocznicy bitwy pod Grunwaldem, t. j. d. 15 lipca, która w roku 1902, tak samo jak i w 1410-tym, wypadła we wtorek. Przeprowadźmy rachunek nasz dla tej daty:

dzień 15-ty marca . . . . .	15
poprawka dla lipca (Tabl. II). . . . .	3
02: 7 = 0 z resztą . . . . .	2
02: 4 (nie było jeszcze roku przest. a więc:) . . . . .	0
Suma . . . . .	20

20: 7 = 2 z resztą 6.

*Szóstka* jest więc błędnym wynikiem. Ponieważ zaś wynik prawdziwy powinien być 3, to jest liczba odpowiadająca wtorkowi, albo  $3 + 7 = 10$ , przeto wynik błędny różni się od rzeczywistości o  $10 - 6 = 4$ .

Inaczej mówiąc: ażeby otrzymać dzień tygodnia dla daty 15 lipca w roku 02 stulecia XX-go, obliczamy ją tak samo jak dla roku 02 stulecia podstawowego \*) z dodaniem 4.

Ponieważ zaś wszystkie daty każdego stulecia pozostają wzajem względem siebie w tym samym stosunku, co i daty stulecia podstawowego, a zatem powiedzieć możemy, że nietylko dzień 15-ty lipca, lecz każda data tegoż stulecia posunie się w stuleciu XX-tym naprzód w tygodniu o dni 4, to jest o tyle dni, o ile później od niedzieli wypadł dzień 1-ym marca w roku 1900. I rzeczywiście, dzień 1-szy marca 1900 roku wypadł we czwartek, czyli 4 dni później od niedzieli.

*Liczba 4 jest więc poprawką dla całego XX stulecia, od d. 1 go marca r. 1900 do ostatniego dnia lutego roku 2000. \*\*)*  
(d. c. n.)

## Z widoków dawnej Warszawy.

### Ulica Marszałkowska.

Każdy, kto kocha swoje strony rodzinne, czy to miasto, czy inne miejscowości, pragnie wiedzieć, jak też wyglądały dawniej. Nasi potomkowie nie będą mieli trudności w zaspokojeniu tej słusznej ciekawości; mnóstwo rysunków a zwłaszcza fotografii da im obfity i dokładny do tego materiał. Ale inaczej było dawniej i dla tego rysunki z przed stu i więcej laty są obecnie nadzwyczaj cenne i ciekawe. Nie-

dawno ordynacya hr. Krasińskich zakupiła w Paryżu kilkadziesiąt akwarel Zygmunta Vogla, przedstawiających widoki gmachów, ulic i kościołów Warszawy z końca XVIII wieku. Vogel był zdolnym malarzem i cieszył się opieką Stanisława Augusta, który dawał mu środki na kształcenie się w ulubionej sztuce. Został następnie profesorem rysunku w liceum warszawskim i na wydziale sztuk pięknych w byłym uniwersytecie. Umarł w Warszawie 1820 r., zostawiwszy cenny zbiór widoków swojego miasta i innych miejscowości kraju, które jednak rozproszyły się po świecie.

Patrząc na widok ulicy Marszałkowskiej Vogla, trudno sobie wyobrazić, że to ta sama ulica Marszałkowska, która dziś jest najdłuższą i bodaj najpiękniejszą w Warszawie. A jednak w 1772 r. kończyła się ona przy obecnej ulicy Złotej i liczyła kilkanaście zaledwie domów. Później przedłużono ją aż do rogatki Mokotowskich, ale cała część za dworcem kolei Wiedeńskiej zabudowała się dopiero w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

## ZE ŚWIATA.

**Kawa i czekolada.** Popijając kawę ze śmietanką albo smaczną czekoladę, która wśród czytelników naszych ma zapewne więcej zwolenników, może przyszła komu z was myśl, jak też dawno znane i używane są u nas te napoje.

Otóż choć historia specjalnie o tem nie wspomina, z różnych listów i pamiątek można wywnioskować, że powszechne używanie kawy zarówno u nas, jak w Europie, bierze swój początek dopiero od pierwszych lat zeszłego stulecia, chociaż kawa była już znana daleko dawniej.

Zwyczaj picia kawy był znany Arabom i rozpowszechniony na Wschodzie od niepamiętnych czasów. W XIV wieku sprzedawali ją Wenecyanie, jako lekarstwo i dopiero w XVII pijano w możniejszych domach w różnych krajach. U nas przyszła ona najprawdopodobniej od Turków. Wspomina o niej Jan Sobieski w liście do swej małżonki, jeszcze w 1667 roku pod Podhajcami pisanym. Wiemy też, że pierwszą kawiarnię w Wiedniu założył Jan Franciszek Kuleczycki, Polak, który w czasie oblężenia Wiednia przekradał się wraz ze swym sługą Michałowiczem z miasta do obozu królewskiego. W Warszawie pierwszą kawiarnię, w dworku za Żelazną Bramą, otworzył jeden z dworzan Augusta II, a w końcu XVIII w. było już ich bardzo wiele.

Z początku pijano tylko kawę czarną i nie mieloną, lecz na sposób arabski tłuczoną i wysypywaną do wrzącej wody do każdej filiżanki, co było bardzo kosztowne. Obecnie kawa biała czyli z mlekiem cieszy się wielkim powodzeniem, jako dobre śniadanie, a czarną kawę pijają tylko starsi po obiedzie, bo jest zbyt podniecająca i w większej ilości szkodliwa dla zdrowia.

O czekoladzie wspomina także Jan Sobieski w swoich listach. Przyszła do nas z Francji i odtąd używana jest tam daleko więcej, niż u nas, którzy właściwie używamy jej jako przysmaku, a nie jako stałego pokarmu. Wszystkie dobre gospodie powinny umieć same przyrządzać oba te napoje, gdyż nietylko gatunek ale i przygotowanie wpływa bardzo na ich smak.

**Dąb zrosnięty z sosną.** Jedna z korespondentek Jaskółki, Kotka z Pilawy, pisze do niej, że w okolicach Pilawy (stacya kol. żel. Nadwiślańskiej i duża wieś) w wielkim świerkowym lesie znajduje się jezioro z dwiema wyspami, pokrytymi lasem sosnowym. Na jednej z nich oglądać można dąb i sosnę, tak szczelnie zrosnięte z sobą, że kora dębu obejmuje pień sosny.

Oba piękne drzewa żyją z sobą w najlepszej zgodzie, nie przeszkadzając wzajemnemu rozrostowi.

\*) W którego roku początkowym 00, dzień 1-szy marca wypada w niedzielę.

\*\*) **Sprostowanie.** Do artykułu naszego w N-rze 2-im *Wieczorów*, zakradła się omyłka:

str. 11-ta, w szpalcie 1-iej, wiersz 9-ty od dołu:

zamiast: 30: 4 = 7

powinno być: 30: 7 = 4

Prosimy naszych czytelników o podawanie krótkich wiadomości o podobnych lub innego rodzaju osobliwościach i rzeczach godnych uwagi, widzianych przez siebie w swoich okolicach.

**Wenezuela i Maroko.** Na dwa te kraje zwrócono w ostatnich czasach uwagę z powodu niesnasek wewnętrznych i możliwych wojen. O Maroku pisaliśmy niedawno w „Wieczorach,” kraj ten, będący w stanie barbarzyństwa, leży na północno-zachodnim wybrzeżu Afryki pod Hiszpanią. Stolicą jego jest Fez a władcą młody sułtan, przeciw któremu walczy obecnie wódz różnych plemion Bu-Hamara. Jak się ta walka skończy, niewiadomo jeszcze, gdyż sułtan jest w ogóle nie lubiany z powodu swej surowości i sympatyi dla Europejczyków. Wenezuela jest krajem Ameryki południowej, najbardziej na północ wysuniętym. Chociaż co do obszaru dwa razy przewyższa Francję, liczy tylko półtrzecia miliona mieszkańców, których większą część stanowią metysi i Indianie, na wpół ucywilizowani. Ziemię tę odkrył Krzysztof Kolumb w trzeciej swej podróży i nazwał Wenezuelą, co znaczy Mała Wenecya, bo znalazł na wybrzeżu morza Karaibskiego miasta i wsie, zbudowane na palach. Wenezuela była posiadłością hiszpańską aż do początku XIX w., poczem dzięki bohaterskim zapasom słynnego Szymona Boliwara, urodzonego w 1783 r. w głównem mieście Caracas, oderwała się od kraju macierzystego i utworzyła oddzielną rzeczpospolitą.

Kraj jest żyzny, posiada klimat podzwrotnikowy, sprzyjający uprawie tytoniu, bawełny i kawy i mnóstwo bogactw naturalnych, między innymi jezioro wody mydlanej, z gotowem prawie mydłem, ale mieszkańcy nie umieją należycie korzystać z tych darów Bożych, wolać nie robić lub wojować między sobą. Dziwne mają upodobanie do nadawania sobie rang oficerskich, tak, iż w wojsku liczącym 6500 ludzi, jest 449 generałów i 2500 oficerów, czyli prawie połowa! Ale nie odznaczają się ani zbytnią odwagą, ani znajomością swego zawodu.

Stolicą kraju jest Caracas, liczące około 80,000 mieszkańców, pamiętne straszmem trzęsieniem ziemi w 1812 r., w którym zginęło 12,000 ludzi. Wymienić jeszcze należy dwa porty Puerto Cabello i Laguaira. Obecny prezydent Castro, z pochodzenia Indianin, z jednej strony walczy z częścią krajowców, niezadowolonych z jego rządów, z drugiej zaś strony z Anglią i Niemcami, którym skarb jego nie może wypłacić zaciągniętej pożyczki.

*Co się dzieje w naszym świątku?*

Co się dzieje w naszym świątku,  
Skreślę kilka słów:

Więc po świętach wędznie praca  
Zakipiała znów.

Lekeye idą doskonale,  
W głowach myśli ruch;

A na dworze mróz się trzyma  
Pada śnieg, jak puch.

Więc spacer — istna „pycha,”  
Na ślizgawkach — raj!

Po nauce tych rozrywek  
Użyć — w to mi graj!  
A w tym czasie — górą pączki,  
Faworki i chrust!  
Takie smaczne, że aż ślinka  
Płynie mi do ust.  
Lecz wspomnijmy, że „Kolonie”  
Zapisują już,  
Biedne dzieci, które latem  
Dławi miejski kurz.  
By ich dużo wyjechało,  
Każdy musi dbać  
I przyczynić się do tego,  
Czem go na to stać!

## SZARADA.

*Pierwsza z drugą nam dowiedzie  
Czemu wszystko jest w biedzie.*

## WIERSZYK BEZ SAMOGŁOSEK.

Kotka z Pilawy.

J.ż d.ł G. r. n. w. l. d. w. j. s. k. s. l. z. b. l. z. z. l.  
K. e. d. y. p. r. z. e. d. k. r. l. m. m. z. k. r. z. z. e. k. s. t. a. j.  
T. r. z. m. a. d. d. w. m. i. e. z. z. p. s. t. e. c. i. z. c. h. w. ł.  
M. s. t. r. z. m. j. z. w. ł. t. ó. r. z. d. j.  
D. l. l. p. s. z. w. w. l. e. d. z. s. s. s. z. j. s. l. g.,  
T. n. m. e. z. d. l. c. b. b., d. l. W. t. l. d. d. r. g. .

## ŁAMIGŁÓWKA LITERACKA DO NAGRODY.

ul. Choinka.

Dajemy poniżej listę nazwisk różnych autorów. Wynaleść pojedynczy utwór każdego autora i ustawić je w takim porządku, aby pierwsze litery tytułów utworzyły tytuł powieści Sienkiewicza.

Homer, Sofokles, Wirgiliusz, Kochanowski, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Goethe, Fredro, Ujejski, Kondratowicz, Korzeniowski, Prus, Orzeszkowa,

Wśród najlepszych rozwiązań wylosujemy jedno do nagrody, którą będzie powieść Teresy Jadwigi, z czasów Adama Mickiewicza p. t. „Hrabina.”

Termin — 10 luty.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 2-go.

**Szarady:** Lam — pa.

## PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

**TREŚĆ:** Pierwszy raz o własnych siłach (ryc.) — Błękitna wstęga, powieść z XVI w. przez Z. Morawską. — Po co są kwiaty? przez Edmunda Jankowskiego. — Z tajemnic czarnego łądu (z ryc.) — Jak oznaczyć dzień tygodnia dla wiadomej daty, przez F. Gr. — Z widoków dawnej Warszawy (z ryc.) — Ze świata. — Łamigłównki i rozwiązania. — **Dodatek:** — Kwiaty na szybie, wiersz przez Izę Pilecką. — Zabawa w cienie (z ryc.) — Co to jest dźwięk? p. Z. K. — Strach w ścianie przez Maryę Weryho. — Mirko, syn rybaka. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

**Bezpłatny dodatek książkowy:** Biruta, przez Z. Rudnicką.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Дозволено Цензурою. Варшава 5 Января 1903 г. Wydawczyni **Marya z Chomentowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka 16.



## Kwiaty na szybie.

Widzisz, dziecino, jak ci okienko  
Zręczną rysownik pokreślił ręką,  
I na szkła kawał czysty i gładki  
Srebrne i białe rozrzucił kwiatki.  
— Jedne jak lilie, drugie jak róże  
Kładą kielichy na liście duże,  
A z poza ramy wyrasta kwiecie,  
Co się w przedziwny arabesk plecie,  
To kłos wystrzela, to bluszcz się kłoni...  
Czyjeż to wszystko jest dziełem dłoni?..,  
Ty wiesz — rozumiesz, kto rylec ima,  
Więsz, że to groźna, ponura zima  
Nielitościwa, sroga, uparta!..

Lecz tak dumając na ręce wsparta,  
W ciepłej komnacie... spytam cię, dziecie,  
Czy wiesz, co znaczy to srebrne kwiecie,  
Które się z gwiazdek drobniotkich składa,  
I o czym ono ci opowiada?..

Nie wiesz?... Posłuchaj! rzeknę słów parę,  
Opowiem rzeczy znane i stare...  
Gdy szron się kwieciem na oknie ścina,  
Kwiat ci o biednych dzieciach wspomina,  
I może z lilii srebrnej kielicha  
Jakieś sieroce serduszek wzdycha...  
I kwiat wspomina te zapomniane  
Ubogie dzieci, nieprzyrodziane,  
O których może nikt nie pamięta,  
Które chuchają w drobne rączkąta,  
I kiedy zima jest w całej grozie,  
W zdartej koszulce ziębną na mrozie.  
A ten głos mówi, że gdzieś w potrzebie,  
Głodna dziecina marzy o chlebie.  
O małej, czarnej chleba kruszynie,  
Choć o iskierec ognia w kominie,  
I coraz głośniejszy, i coraz gorzej  
Płacze biedactwo, gdy mróz się sroży.  
Więc gdy szron twoją szybę osiada,  
Litość w kwiat śnieżne gwiazdki układa,  
A gdy się mieni w bieli i srebrze,  
U twego serca współczucia żebrze,  
Prawiąc o chlebie... ciepłej iskierec...  
Więc pomyśl o tem!.. i otwórz serce!..

Widzę!... o widzę dziecino miła  
Że ci się z oczek łezka stoczyła,  
I gdy po lezku różowem płynie,  
Myślisz, jak pomódz głodnej dziecinie.  
Skoczyłaś!.. biegiesz do mamy — taty  
Mówiąc, co mroźne rzekły ci kwiaty,  
Jak się przejęłaś ich dziwną mową...  
Zamiast mi, mamu, dać lalkę nową,  
Daj grosz na drzewo, co ciepło nieci,  
Daj na sukienki dla biednych dzieci!..

Iza Pilecka.

## Zabawa w cienie.

Podane tu  
ryciny nie po-  
trzebują dłu-  
giego objaśnie-  
nia. Przypatrz-  
cie się, jak  
dziadunio ku  
uciesze dzia-  
twy ułożył rę-  
kę, że na ścia-  
nie ukazuje się  
wyraźnie: ła-  
będz i człowiek  
z wędką. Spró-  
bujecie sami tej  
sztuki, a bę-  
dziecie mieli  
wyborną zaba-  
wę na wiesz-  
ry zimowe.



Łabędź.



Człowiek z wędką.

## Co to jest dźwięk?

II.

Zeszłym razem mówiliśmy o tem, z jaką to niesłychaną szybkością biegnie światło. Otóż dźwięk rozchodzi się znacznie wolniej niż światło. Spostrzedz to łatwo podczas burzy, gdy widzimy błyskawicę wcześniej niż słyszemy grzmot, chociaż to odbywa się jednocześnie. Tak samo, gdy patrzymy na człowieka rąbiącego drzewo i w chwili gdy siekiera uderza

w drzewo, uderzenia nie słyszemy. Słyszać je dopiero wtedy, gdy rąbiący podnosi siekiere w górę, a więc w chwilę później.

— A pani nam obiecała wytłomaczyć wczoraj, kiedy byliśmy koło mostu, co to jest echo.

— Wczoraj tak wyraźnie odbijał się głos, kiedyśmy stali koło mostu — dodał Adaś.

— Dobrze powiadasz, że głos się odbijał. Echo nie jest niczem innym jak odbiciem się głosu o jakąś zaporę, a więc o skałę, o ścianę, a wczoraj głos odbijał się o cembrowinę mostu. Odbił się o nią i powrócił znowu do naszego ucha.

— A dlaczego, proszę pani w pokoju niema echa, [przecież głos odbija się o ściany — zauważył Staś.

— Tak, odbija się, ale gdy ściana jest blisko, głos powraca szybko i nie słyszemy dźwięku osobnego. Głos nasz bowiem i odbicie brzmią razem. Inaczej się dzieje w wielkich salach, gdzie można słyszeć echo. We Włoszech istnieje pewien pałac, w którym głos odbija się przeszło 30 razy. Jedna ściana odbija dźwięk i podaje go drugiej. To samo można zauważyć podczas burzy w górach. Grzmot odbija się tam wielką ilość razy o ściany skał, wskutek czego wydaje się jak gdyby ciągle grzmiało.

Na zakończenie powiem wam jeszcze o dźwiękach czyli tonach niskich i wysokich. Uczycie się na fortepianie i wiecie, że istnieją tony wyższe i niższe, czyli cieńsze i grubsze. Głos także może być cienki lub gruby. Mężczyźni mają głos o tonach niższych, kobiety o wyższych. Zależy to od wolniejszego lub prędkiego poruszania powietrza. Im prędsze jest drganie, tem dźwięk jest wyższy czyli cieńszy. Wasze głosy mają więcej drgań na sekundę niż mój, a mój ma więcej niż np. tatusia lub wujaszka Bolesława. Czyście zrozumieli?

— O to wcale nie trudno. — rozumiem doskonale — rzekł Adaś.

— I ja, i ja — zawołali Celinka i Staś.

*Zofia Kwiatkowska.*

## STRACH W ŚCIANIE.

Była raz mała dziewczynka imieniem Irenka, miała lat pięć i mieszkała na wsi w małym domku drewnianym.

W dzień bawiła się i biegała po domu, po podwórku i ogrodzie. Wieczorem siadała koło swej mamy by się czemkolwiek zająć, to rysowała, to wycinała, a czasem oglądała obrazki.

Pewnego wieczoru mama czytała książkę, a Irenka siedząc przy niej nalepiała w kajecie zasuszone kwiatki. Było bardzo cicho i spokojnie.

Naraz, ktoś zapukał leciutko w ścianę, jakby szpilką po drzewie.

— Kto to puka? — pyta Irenka. Wstała, poszła do drugiego pokoju — nikogo nie było.

Usiadła przy robocie. Za chwilę znowu słyszy.

— Puk, puk, puk!

— Mamo, ja się boję, kto to wciąż stuka?

— Nie bój się dziecko, pewno jakiś owad toczy drzewo.

Puk, puk, puk... wciąż kołatało w ścianie; Irenka przytuliła się do mamy.

— Moja mamusiu, to pewno jakiś strach w ścianie siedzi, o może jaki krasnoludek.

Wtem na zegarze uderzyła godzina ósma, czas zabierać się do spania.

Irenka uściskała matkę na dobranoc i prędko pobiegła przez pokój.

— Jeszcze mię krasnoludek gotów porwać — pomyślała sobie.

— Nianiu, boisz się strachów?

— Jakie tam, serce, strachy, kiedy ich nie ma.

— Są nianiusiu, są napewno w ścianie stołowego pokoju.

Mięło kilka dni.

Irenka przebierała lalkę, gdy zawołała ją mama,

— Patrz no, córóchno jak wygląda ów strach, który ciebie tak przestraszył któregoś wieczoru.

I matka trzymała na dłoni małego, czarnego żuczka; który przed chwilą wyszedł ze szpary.

— A po co pukal? pyta dziewczynka.

— Bo mu się jeść chciało, więc usiłował urwać kawałek drzewa spróchniałego i dla tego kołatał, stąd też kołatką się nazywa.

I przekonała się Irenka, że w ścianie nie było ani strachu, ani krasnoludka.

A teraz biegnie prędko do niani — aby powieścić, że naprawdę nie ma strachów na świecie.

*Maryja Weryho.*

## MIRKO, syn rybaka.

(Dalszy ciąg).

Jestem podróżny, przybywam z daleka — rzekł Mirko, zbliżając się z uszanowaniem do jakiegoś poważnego mężczyzny. Raczcie mnie wasza miłość objaśnić, jaka jest przyczyna takiej ogólnej żałoby?

— Mój młodzieńcze, nie dziw się, — odrzekł tenże, — jesteśny jak dzieci przy łożu konającego ojca. Nasz król jest bardzo ciężko chory, a na tę chorobę lekarze nic nie mogą poradzić. Opowiadają, że wpada co wieczór w sen ciężki, podczas którego upiór jakiś krew z niego wysysa. Oprócz małego ukłucia na ramieniu, innego znaku nie ma na jego ciele; ale siły coraz słabsze, niknie w oczach, ledwie już chodzić może. Żalujemy wszyscy dobrego pana, tem więcej, że król nasz nie zostawia następcy, i z pewnością wielkie klęski spadną na to królestwo, które ma nieprzyjaznych sąsiadów, i niezgodnych panów, składających przyboczną radę królewską.

Mirko chwilę podumał i przemówił: — Paniel

zrób mi tę łaskę i zaprowadź mnie do króla, obiecuję pochwyć tego upiora i ocalić życie królewskie!

— Nie jesteś chyba przy zdrowych zmysłach młodzieńcze — powiedział ów pan przypatrując się ze zdziwieniem chłopcu. Takie jednak wrażenie zrobiły pewność i zapal jaśniejący w jego spojrzeniu, że po chwili wahania, postanowił zaprowadzić Mirka do wielkiego ochmistrza, który był najwierniejszym sługą królewskim. Przedtem jednak zabrał go do siebie, żeby wypoczął po trudach podróży.

Z wdzięcznością przyjął Mirko ofiarowaną gościnność i jeszcze po drodze zakupił z pomocą nowego znajomego stosowne do dworu królewskiego ubranie.

Kiedy wypoczęty, umyty, przebrany stanął przed wielkim ochmistrem bardzo dobre wywarł na nim wrażenie.

Wielki ochmistrz, wysłuchawszy Mirka przemówił w te słowa.

— Żal mi ciebie mój chłopcze, że ważysz się na tak wielkie przedsięwzięcie. Pamiętaj, że może król umrzeć przy tobie, a ty będziesz wtedy śmiercią karany. Wreszcie czyż nie lękasz się straszego upiora?

— Nie lękam się niczego, i życie moje poświęcam — rzekł śmiało chłopiec.

— Chodź zatem ze mną do króla, jeżeli on zezwoli, będziesz dziś nocował w jego sypialni.

Mirko poszedł za wielkim ochmistrem, przeszli kilka wspaniałych sal, nareszcie w mniejszej komnacie znaleźli króla siedzącego na wygodnym krześle, lecz tak zbiedzonego, tak smutnego, że patrzącym na niego krajało się serce. Mirko był tak szczerze przejęty, że wielki ochmistrz widząc to postanowił w głębokiej tajemnicy, na swoją odpowiedzialność, wprowadzić go do królewskiej sypialni.

Północ nadchodzi. Chory król leży, pogrążony w głębokim śnie. Kaganiec z oliwą oświeca słabo komnatę. Mirko siedzi z bijącym sercem, ukryty za kotarą. Wtem cicho otwierają się drzwi w ścianie i wchodzi jakaś tajemnicza postać. Mirko ze zdumieniem poznaje w niej kanclerza królewskiego Nemo, którego mu właśnie pokazywał wielki ochmistrz, dodając, że to jest ulubieniec królewski, cieszący się wielkimi łaskami.

Nióśł on na rękę ogromnego nietoperza, przybliżył się do śpiącego króla i położył szkaradne zwierzę na jego odkrytym ramieniu.

Mirko w tej chwili przekreślił pierścione, i wyskoczywszy z poza kotary schwycił nietoperza, zdusił i rzucił o ziemię porwawszy zaś łaskę, na której król się wspierał, zaczął okładać nią niegodziwego kanclerza. Zaskoczony z nienacka i przerażony napa-dem jakiejś niewidzialnej siły, zbrodniarz padł na kolana, błagając o litość.

— Nie miałeś litości nad swoim dobroczyńcą, chciałeś go życia pozbawić, ale zasłużona kara cię nie minie. Wołam w tej chwili na strażę i oddaję cię w ich ręce, wołał Mirko groźnym głosem.

— Zmiłuj się! zmiłuj nadprzyrodzona istoto, zaczął kanclerz, pozwól mi ująć tym samym korytarem. Już nigdy tego nie powtórzę, jeśli chcesz opu-

ścić kraj na zawsze, skryję się gdzie w odległym lesie, by pokutować za winy swoje.

Mirko, który nie chciał gubić człowieka, jakkolwiek występnego, uwierzył łatwo w jego chęć poprawy i pokuty, i puścił wolno, kazawszy zabrać ze sobą nieżywego nietoperza.

Król spał długo i obudził się mniej osłabiony niż dnia poprzedniego. Mirko zaręczył, że upiór nie wróci, prosił jednak, żeby pozwolono mu czuwać co noc przy królu, choćby tylko przez parę tygodni. Wielki ochmistrz zgodził się na to, pod warunkiem, że chłopiec będzie mieszkał u niego.

Mijały dni za dniami, zdrowie króla poprawiało się widocznie, nabierał sił, a zarazem nadzieja zupełnego wyzdrowienia wstępowała w jego serce.

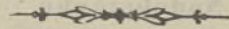
Widząc codziennie przy sobie młodego chłopca, bardzo go polubił i chcąc okazać mu wdzięczność za ocalenie życia, zapytał go jednego razu.

— Powiedz śmiało, czego sobie życzysz, a ja ci dam królewskie słowo, że twoje życzenie spełnione będzie.

— Miłościwy panie! — odrzekł Mirko, jeżeli taka wazsza łaska, pragnę uczyć się, a również wprawiać w rycerskim rzemiośle.

— Podobała się nam ta chęć twoja, stanie się jej zadość.

(d. c. n.)



### ZAGADKA.

p. Wielkopolanke.

Mają to starzy, nie mają dzieci,  
Nie posiada więcierz — ale mają sieci.

### ŁAMIGŁÓWKI LITEROWE.

Muszki z n. Rosi dla Sroczi z n. Rosi  
i Szarej Muszelki.

- 1) a a a b b b e i i k r r r n y y z.
- 2) a a c e e g i j k k l o o o p r z.

Z podanych liter ułożyć dwa przysłowia.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 2-go.

**Zagadki:** Cztery pory roku.

**Łamigłówki w kwadracie:**

D u b l i n  
D r w ę c a  
C z e c h y  
T a d z i o  
A n t o n i  
D o m i n o



Skrzynka do listów.

P. R. w następnym numerze rozpoczniemy druk słynnej powieści Pemberton „Pałac w głębi Oceanu” z ilustracjami.

**Sokołowi.** Drukowaliśmy podobne kwadraty, więc z przysłanych korzystać nie możemy, ale prosimy o inne łamigłówki. Początek Biruty wysłany.

**Kaziowi B.** Wykaz dzieł i książek, które prenumeratorzy „Wieczorów” mogą nabywać po cenie znacznie niższej, ogłosiliśmy w prospekcie i w N-rze 2-im r. b.

**Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali:** Robinson Warszawski, Sokół z Olszewa, S. i M. Lehr, Żabka z nad Rosi, B. Rudowski, Lilijska, Janinka Gawrońska, B. Markowicz, Antoni Filipowski, Malwina Romanus, F-wicz, Pensyonarka, Helena Lilienfeld ze Lwowa, Wańdzia Chądzyńska, Stefan Skwieciński, Helunia Tarnopolska, Czeremcha, Litwin, Jontek, Miri, Kometa, Śmieszka, Kukułka z Żórawiej i Kmicic.

Życzenie **Łochozwianki** spełnimy i w piątek oczekiwac jej będziemy w redakcyi.

**Gwiazdka Zacisza** nie mi nie doniosła o teatrze polskim w Łodzi, a losy jego bardzo mnie interesują, gdyż popierać należy własną sztukę. Podolanka pragnie zapewne zamienić z tobą karty pocztowe, a ja dodam, że się jej nie dziwię, bo każdy chętnie szuka znajomości z korespondentką, która jak Gwiazdka zasługuje na pochwały za dobrą naukę.

**Dzieciom Rohatynskim** dziękuję za serdeczne życzenia i cieszę się bardzo, że „Wieczory” witają z radością. Tegoroczne, mam nadzieję, także podobać się będą, i dadzą niejedną dobrą radę, niejednen przykład do naśladowania. Idźcie drogami, które one wam wskazują a wyrośnięcie na użytecznych i prawych ludzi, czego wam z serca życzę.

Twoje ptaszki **Nadobrzanko** zwiastują mi list od ciebie, przysyłaj go prędko, a za życzenia przyjm serdeczne podziękowanie.

Za list twój długi 12-o stronicowy **Wielkopolanko** kochana, jaką odpowiedzią potrafię się wywdzięczyć? W mojej skrzynce miejsca tak mało, a duży stos listów leży przede mną, więc tylko dziękuję ci dzisiaj za wszystkie ciekawe szczegóły o spędzonych wakacjach, wyjeździe do Brukseli i życiu obecnem w klasztorze, a także za przyslaną fotografię, która dała mi poznać twoją twarzyczkę. Wkrótce dłużej pogwarzę z tobą listownie. Wierszyk dobrze napisany i myśl piękną zawiera, przytaczam ostatnią strofkę:

I tak śpiewając, w poezyi anioła  
Szept się wsłuchuję — słucham, jak mnie woła...  
Nie znam, co pycha i obłuda świata,  
Jeszcze mnie kryje niewinności szata,  
Wiara, nadzieja, są razem z miłością  
Moją mądrością.

Z rozczuleniem odczytałam twój „pierwszy list w życiu” moja mała **Zochno** i to jeszcze ze stron dalekich, bo aż z **Pekinu**. Z ciekawością oglądaliśmy fotografie robione przez twego brata, Irenka i Mania bardzo za nie dziękują, a my chcemy umieścić je w „Wieczorach.” Bardzo się cieszę, że już umiesz pisać, gdyż spodziewam się odbierać listy ze stolicy państwa chińskiego od mojej małej rodaczki i czytelniczki, którą już do grona miłych korespondentek zaliczyłam. Ileż to rzezyy będziesz miała do opowiadania za powrotem do kraju!

Dawno już **Kometa** zgłosiłaś na widnokręgu naszej korespondencyi, aż oto po 7-miu miesiącach milczenia, nowy promyk pamięci zajaśniał u wrót mej skrzynki. Chwytam go skwapliwie i postaram się nie wypuścić, wpisując cię na listę stałych, a nie jak dotąd bywało przygodnych korespondentek. Stań się planetą, która stale krąży po widnokręgu lub gwiazdą, zamiast kapryśnej komety. Odpowiedzi moje zależne są od listów, na które odpisuję. Ślizgawkę bardzo lubię, a wnoszę, że zupełnie do zdrowia powróciłaś po zaziębieniu świątecznym, jeżeli już używasz tej miłej rozrywki. Mamie i siostrzytce za pamięć dziękuję.

Podoba mi się twój pseudonym **Śmieszko**, bo każe przypuszczać, że musisz być wesołą i śmiać się lubisz. A wesołość i śmiech otwarty i szczery (ale nie bezmyślny i złośliwy), są naturalnemi towarzyszami młodości, jak słońko wiosny. Nie można jednak śmiać się ciągle i poważniejszym myślom trzeba dać przystęp do główki, zrozumiałaś to i czas wolny od nauk lubisz poświęcać czytaniu, a że „Wieczory” tak ci się podobają, bardzo mnie cieszy. Część I-ą Biruty musiałaś już otrzymać, bo redakcyja spełnia natychmiast to żądanie nowych prenumeratorów, jeżeli tylko nie zapominają przysłać adresu. Czekam bliższych o tobie wiadomości.

Dwa twierdzenia i dwa zaprzeczenia znajduję na początku twego listu **Miri**: z pierwszemi chętnie się zgadzam, drugie odrzucam jako z prawdą niezgodne. Bo dla czegoż jabym cię nie lubiła i z niechęcią na twe listy odpowiadała? Zapewniam cię, że szczerą mam ku tobie sympatyę, a twoje listy tak są zajmujące i serdeczne, że z wielką przyjemnością na nie odpowiadam. Że czasem trzeba czekać na odpowiedź to nie moja wina, ale warunków układania i drukowania pisma. Stokrotkę z za gór dobrze pamiętam i miło mi poznać w tobie jej siostrę, a choć ona poważną już rolę w świecie odgrywa, pozdrów ją serdecznie w mojem imieniu i powiedz, że docho-wuję jej wiernie przyjaznych uczuć, które teraz na ciebie przelewam. Żarciki twoje odpowiednie dla „Wieczorów” były już drukowane. Zagadka o nożyczkach jest bardzo znana, łamigłówkę sylabową złożyłam w redakcyi. Tłómacz, pochodzi od słowa tłumaczyć, więc się pisze przez ó.

Jak miło gawędzić, **Żabko z nad Rosi**, gdy się natrafi na duszę sobie pokrewną, ja w twoim wieku miałam takiż zapal w sercu i chęć do czynu, a choć nie wszystkie marzenia się spełniły, bezsilnie skrzydeł ku ziemi nie opuściłam. Z latami przyszło doświadczenie, rozważa, tylko zapal w duszy pozostał. O zdolnościach twych stylistycznych nie powi-dzieć nie mogę, ale przyslił mi które z wypracowań, chętnie je przeczytam. Nie każdemu dano wrażenie piękna, które w duszy odczuwa, przelać na papier, ale gdy kto ma coś do powiedzenia, to zawsze formę właściwą wynajdzie. Listy piszesz doskonale, a łamigłówki twoje uchodzą w redakcyi za jedne z najlepszych.

Miałaś słusność **Lili** nie chcąc mnie nazywać „panią,” dla was jestem zawsze Jaskółką, do której z całą otwartością i poufalością pisywać możecie. Pozyskałam w tobie nową korespondentkę, a zadziwiłam się, jak porządnie i ortograficznie, zaledwie po jednorocznej nauce, list dość długi potrafiłaś nakreślić. Nietylko pozwalam, lecz proszę byś do mnie często długie listy pisała, donieś mi, czy oprócz Edzia, masz jeszcze więcej rodzeństwa?

**Kukułeczkę z Żórawiej, Kmicica II i Górską Pasterkę** proszę o dłuższe listy, a tymczasem ślę im serdeczne pozdrowienia.

**Urszulce Jaroch. i B...n.** za przyslane karty dziękuję.

**Natalci N.** za bardzo porządnie uszyte trzy sukienki i dwie koszulki dla biednych dzieci serdeczne „Bóg zapłać” w imieniu obdarowanych za pośrednictwem waszej

**Jaskółki.**

**Żarcik.**

**Mama.** Czesiu, nie hałasuj, babcia śpi.

**Cześ.** Moja mamusiu, to nie ja, to moi żołnierze tak hałasują.

**OGŁOSZENIE.**

Przedstawienia **Jasełek** w zakładzie sierot chłopców imienia Jałowicza przy ulicy Freta Nr. 10, odbywają się codziennie do d. 5-go lutego o godz. 6-ej, a w niedzielę i święta o godz. 4-ej i 7-ej. Cena biletu kop. 20.